

„TYLKO PARANOICY SĄ KONSEKWENTNI”

(„Przegląd Tygodniowy” Nr 18, 30.04.1989)

Rozmowa ze Zdzisławem Beksińskim

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY”: – Kiedy prosiłem pana o rozmowę, przystał pan na nią niechętnie twierdząc, że wszystko już wszystko już powiedział we wcześniejszych wywiadach, których nie udzielał pan już od wielu lat. Czy to oznacza, że cel jaki wytknął pan sobie przed laty jest niezmienny do dziś? Czy Beksiński dzisiaj jest Beksińskim sprzed lat?

ZDZISŁAW BEKSIŃSKI: – Może to co innego znaczy: początkowo wyobrażałem sobie, że sprostuje mylne sądy na mój temat. Dzisiaj sędzę, że sam mam też wyłącznie mylne sądy i nie chcę już niczego prostować. Mam dość całej zabawy. Wiem, że nie niosę przed sobą żadnej ideologii, w związku z tym nie realizuję żadnego konkretnego planu, który z tej ideologii by wynikał. O czymże mówić?

– **Ostatnią wystawę miał pan w 1981 r. i wtedy pan stwierdził, że ten sposób prezentacji własnej twórczości nie ma sensu...**

– ...Nic takiego nie stwierdziłem.

– **Znalazłem to w jednej z pańskich wypowiedzi udzielonych prasie.**

– Jeżeli idzie o zagranicę, to często robię wystawy a raczej nie ja, tylko robi mi je mój przyjaciel z Paryża, który liczy, że mnie wylansuje. On zresztą nie ma doświadczenia w

tej dziedzinie, jest prawnikiem, wykłada ekonomię polityczną na Sorbonie i zajmuje się lansowaniem wyłącznie mojej osoby.

– **A w kraju?**

– Jeśli ktoś właduje w jakieś przedsięwzięcie wszystkie swoje pieniądze – a on to zrobił – obowiązuje zasada „nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Po prostu nie mam prawa, w tym także moralnego, rozporządzać własnymi obrazami. Jeśli on chce ustalić jakieś ceny, to gdybym pozwolił, żeby tańszy obraz pojawił się na rynku, to tym samym podciąłbym gałąź, na której on siedzi.

– **Nie chodzi mi o wystawę sprzedażną, tylko prezentację dorobku z ostatnich 8 lat.**

– Miałem wystawę przed dwoma laty w galerii Alicji Wahl. Zawierał ona wyłącznie obrazy namalowane w 1987 roku. Została zorganizowana w sposób partyzancki, bez

wcześniejszego zaplanowania. Po prostu była szansa wystawienia obrazów, które mój kolega zabierał do Paryża.

– **Czy dostrzega pan konieczność istnienia takiego związku: twórca – dzieło – odbiorca?**

– Bo ja wiem. Nie, chyba nie... Ja jestem z tych, którzy kochają tworzenie do szuflady.

– **To ostatnie ogniwo jest całkowicie nieistotne?**

– Doskonale bawię się sam ze sobą. Sądzę, że mógłbym nawet funkcjonować w dyktaturze totalitarnej, gdyż nie odczuwam potrzeby przekazywania na zewnątrz kim jestem.

- Czyli, gdyby nie musiał pan rozstawać się ze swoimi dziełami ze względów merkantylnych, to miałby pan w domu wszystko, co kiedykolwiek stworzył?**
- Tak. Właśnie w myśl wspomnianego układu muszę zapewnić prawo wyłączności mojemu przyjacielowi, ale najchętniej wszystko zostawiłbym sobie.
- Zauważa się w ostatnim czasie odchodzenie od awangardy. Artyści tworzą tzw. malarstwo przedstawiające. Pan jest uważany za jednego z tych artystów, którzy od awangardy, od abstrakcji odeszli.**
- Stawiając w ten sposób sprawę należałoby wtedy postawić znak równania między abstrakcją i awangardą. A można przecież wyobrazić sobie istnienie sztuki awangardowej, która nie jest abstrakcją. Awangardowość, z wyjątkiem wczesnej młodości, mało mnie pociągała ze względu na to, że ideologie w ogóle niesłuchanie mało mnie pociągają, jeśli wręcz nie odpychają. Jestem z natury bardziej anarchiczny, w

stosunku do ideologii także. Natomiast awangarda zawsze wiązała się z jakąś ideologią, poza tym była w jakimś sensie uzurpacją. Możemy wiedzieć ex post, powiedzmy po 50 latach, że te a te działania były awangardowe, gdyż antycypowały takie a nie inne dokonania, które powstały później. Natomiast zażądanie, że ja jestem dzisiaj awangardą tego co będzie w przyszłości, jest bardzo podejrzane. Z reguły okazuje się, że przyszłość wygląda zupełnie inaczej niż planowali to ludzie mający ideologię i realizujący ją.

– Czy artyści – bo że publiczność jest zmęczona awangardą to widać choćby po tym co kupuje – są już zmęczeni awangardą?

– Mogą mówić tylko o sobie. Nie interesuję się tak bardzo sztuką i tym, co mówią na ten temat artyści. Z tymi, których znam, rozmawiam na tematy nie artystyczne, nie związane z tym, co sobie zamierzają.

– Jest pan artystą, który ma oryginalny, rozpoznawalny styl. Nie trzeba być znawcą, żeby patrząc na pana obraz od razu stwierdzić: Beksiński. Czy do własnego stylu dochodzi się długą pracą wykształcając coraz to nowe jego elementy, czy po prostu jest to jakiś jeden impuls genialności, który podpowiada artyście, że powinien realizować się w ten sposób?

– Nie wiem, nie posądzam siebie o błyski genialności. Stylu chyba sobie nikt nie narzuca, ot, po prostu jest i bierze się z gestów nieświadomych, jak na rysunkach konferencyjnych. Styl wyrabia sobie każdy robiąc własny podpis. Ten podpis na początku jest jakoś zaprogramowany, a w wyniku tysiącokrotnego powtarzania, np. na czekach, on się stereotypizuje. Sądzę, że to samo dzieje się z ręką, która pracuje nad obrazem. Po jakimś czasie pewne gesty stają się na tyle stereotypowe, że można już mówić o typowości w stosunku do danego malarza. Zresztą ja swoich obrazów nie widzę. Niejednokrotnie wydaje mi się, że namalowałem całkiem inny, nietypowy obraz, a wszyscy mi mówią, iż jest rozpoznawalny.

– Wykorzystuje pan w swoim malarstwie takie elementy, jak katedra, ukrzyżowana postać, krzyż, cmentarz, skarłały władca siedzący na przepysznym tronie itd. Twierdzi pan, że za tym malarstwem nie kryją się żadne sekretne treści, nie lubi pan symbolu. Jednak powielanie tych elementów wręcz narzuca odbiorcy takie podejrzenia, że jednak coś się kryje, że coś tam musi być.

– Coś się może i kryje, ale pan powołał się na fakt, że nie lubię symbolu. Człowiek operujący symbolem wie, co ukrywa za rzeczami. Nie twierdze, że za moimi rzeczami nic się nie kryje. Ja, prawdę mówiąc, nie wiem. Tak jak we śnie...Można go rozbierać posługując się takim czy innym systemem analizy, ale właściwie człowiek nie wie, co się za tym kryje. Poza tym nie jest to dla mnie aż tak istotne. Posługuję się stereotypem formalnym. Po prostu operuję postacią siedzącą, postacią przy stole, popiersiem, portretem, najchętniej zresztą maluję twarze. Ten okres, na który pan się powołuje, to już jest jakby etap w mojej twórczości – takich persyflaży malarstwa XIX wieku, który był

gdzieś między początkiem lat siedemdziesiątych a ich końcem. Później malowałem inne obrazy, przedtem także, natomiast tamte przybiły mi jakąś pieczętkę i wszyscy do nich wracają i pytają co to znaczy.

– Czy jest pan zwolennikiem twierdzenia, że artysta nie musi zdawać sobie sprawy ze wszystkich treści swojego dzieła, że w jego powstawaniu bierze też udział podświadomość i dopiero ktoś inny może próbować rozszyfrować te treści?

– O ile one się tam w ogóle znajdują, gdyż wydaje mi się, że każdy może sobie odkrywać, co chce. Po prostu co komu w duszy gra, to sobie w obrazie znajdzie. Dla mnie na pewno jest to drugorzędne, np. to, że tu się akurat znajduje drzewo. Ja po prostu chcę namalować obraz. Wielokrotnie byłem z tego powodu przepytywany, ale naprawdę nie umiałem udzielić odpowiedzi.

– I będzie pan jeszcze wielokrotnie przepytywany, bo jest to rzecz pasjonująca odbiorcę, który nie jest nauczony patrzeć i myśleć estetycznie, odbiera szczegół i pyta – dlaczego?

– Nie wiem, czy chodzi o samą estetykę, nie wiadomo o co chodzi przy malowaniu obrazu. W pewnym momencie życia podejmujemy decyzję, że zostaniemy malarzem. Sądzę, że u wszystkich wygląda to w ten sposób. A później tworzy się poza świadomością, można na ten temat wiele napisać, wiele powiedzieć, ale nie jest się wcale bliżej problemu.

– Pana obrazy tworzą jakąś całość. Czy nie ma pan wrażenia, że zagłąda pan przez te obrazy, jakby wyglądał pan przez okno wehikułu czasu, który zatrzymał się na krańcach cywilizacji ludzkiej, że jest pan Kasandrą wieszczącą naszemu rodzajowi smutny koniec?

- Absolutnie nie, wiele osób ogląda te obrazy i widzi jakieś makabryczne końce świata, jakieś kasandryczne przepowiednie. Ja tego nie widzę w tych obrazach.

- **Ale sam pan twierdzi, że wszystko ulega przemijaniu.**

- Nie tylko ja jeden! To przecież komunał!

- **Jednak pan się stara, aby obraz był trwały, by coś ocalało. Czy nie są to irracjonalne próby wydarcia się z tej nieuchronności.**

- Człowiek jako tako normalny jest istotą ambiwalentna. Tylko paranoicy są konsekwentni do końca. Nie jestem człowiekiem konsekwentnym. Oczywiście, jeśli popatrzy się na to z boku, to jest kompletnym bezsensem przykładać kolosalną wagę do trwałości rzeczy, które i tak po nas nie zostaną.

– Porzucił pan architekturę, fotografię, rysunek, malarstwo abstrakcyjne. Czy jest możliwe, że w jakimś momencie narodzi się nowy Beksiniński? Czy to co pan robi, porzuci tak, jak poprzednie etapy twórczości, czy po prostu dzisiejszy Beksiniński jest już ostateczny?

– Tego nikt nie wie, ale ponieważ przekroczyłem sześćdziesiątkę, to mam niewielkie szanse. Mój ojciec żył 67 lat. Nie sądzę, bym cokolwiek porzucił. Architektury nie porzuciłem, ja jej nigdy dobrze nie zacząłem: skończyłem studia, odrobiłem nakaz pracy, nie lubiłem tego zawodu. Fotografię rzeczywiście porzuciłem. Ze względu na to, że nie bardzo umiałem się w ten sposób wypowiedzieć. Fotografia jest dla kogoś kogo inspiruje otaczająca go rzeczywistość.

Na mnie rzeczywistość bezpośrednio wpływa w niewielkim stopniu. Zawsze interesowało nie wewnątrz. Realizowanie tego, co mi przychodzi do głowy, niejako od wewnątrz przy pomocy narzędzia, które rejestruje zewnętrzną rzeczywistość jest sprzeczne na samym

początku. Odejdźcie od rysunku... Między rysunkiem a malarstwem nie ma aż takiej diabelnej różnicy. Od rysunku nie oszczędłbym, chętnie zabrałbym się za rysowanie, ale w tej ciasnocie, którą tu mam, zabranie równoległe się za rysunek wymagałoby przerobienia warsztatu. Wszystko tu jest tłuste, brudne od farb olejnych. Powinny być dwa oddzielne warsztaty pracy. Chętnie wziąłbym się też np. za grafikę, tylko gdzie na Boga? Nie ma gdzie ustawić prasy. Konkretna sytuacja spowodowała, że maluję obrazy.

Rozmawiał Krzysztof Andracki